

JANUSZ „KRAWIEC” WIŚNIEWSKI

**ŻYCIE... OD
PODSZEWKI**

TOM III

S. KITOWSKI

Janusz „Krawiec” Wiśniewski

ŻYCIE OD PODSZEWKI

Mojej ukochanej żonie Ewie

Motto: Łatwiej wydać przyjaciela niż książkę

[Wydawnictwo Estymator](#)

Warszawa 2021

Wydanie II (e-book)

Copyright © Janusz „Krawiec” Wiśniewski

Autor okładki: Sławomir Kitowski

Redakcja: Beata Smolarek

ISBN: 978-83-66719-34-7

Spis treści

[OD WYDAWCY](#)

[I. LAIK](#)

II. IMPLIKACJE

III. KLIENT Z LONDYNU

EPILOG

OD WYDAWCY

Ta książka stanowi swoistą kontynuację wydanej wcześniej w dwóch tomach powieści „Życie skrojone na miarę” tego samego autora. Jest to opowieść o pisaniu powieści, o zmaganiu się z samym sobą, z bliskimi. O położeniu na szalę własnego prestiżu i miłości. O cenie jaką trzeba zapłacić za wejście do krainy sztuki.

Po publikacji powieści życie głównego bohatera, Piotra, mocno się komplikuje. Tak bardzo, że pojawiają się na jego życiowej drodze psychoterapeutka doktor Maria oraz psychiatrę prof. Władysław, a także epizod szpitala psychiatrycznego. Okazuje się, że literacki sukces może też nieść ze sobą poważne niebezpieczeństwa! Czy Piotrowi uda się przezwyciężyć kryzys? Czy wyjdzie na prostą?

I. LAIK

Nazywam się Piotr. Piotr Kowalski. Naturalnie, że to moje nazwisko jest byle jakie, bardzo powszednie, szarobure. Pewnie, że wołałbym nazywać się bardziej wyszukanie, światowo, na przykład; Karl Lagerfeld, Pierre Cardin, Giorgio Armani, Rene Lezard czy Valentino... Kurka wodna, jak to pięknie brzmi! Tak elegancko, zagranicznie. Polskie nazwisko też od biedy mógłbym nosić, ale wołałbym bardziej szlacheckie, którego rdzeń mówiłby o pochodzeniu, o, choćby tak: Podboraczyński, Raczyński, Roń-Prądyński, Huszcza-Krzepicki... Tak, Piotr Huszcza-Krzepicki! Kurka wodna, super! Niestety nazywam się Kowalski, Piotr Kowalski. W dodatku nie wywodzę się z żadnego wielkiego rodu, nie jestem znanym artystą, naukowcem, biznesmenem czy politykiem. Jestem od trzeciego pokolenia krawcem, pieprzonym krawcem, który zamiast siedzieć na stołku i szyć wam portki – jak robili to moi dziadowie – wziął się za pisanie książki. Uparcie, z mozołem, klecę tę swoją powieść, strona po stronie, licząc na to, że ją kiedyś wydam, że ktoś zechce ją przeczytać. Piszac, łudzę się w duchu, że potrafię – jak prawdziwy literat – wprowadzić was w trans przeżywania przygód mojego bohatera, że zaciekawię was jego życiem, z którym, chciał nie chciał, do pewnego stopnia muszę się utożsamić.

Jak inni piszą książki? Nie wiem. Nie wiem, jak np. pani J.K. Rowling tworzy pasjonujące dla wielu (niestety nie dla mnie) przygody Harrego Pottera. Nie wiem, jak tworzy się kryminały czy powieści z gatunku science fiction. Żebym ja mógł opisać jakieś wydarzenie, muszę w nim poniekąd uczestniczyć, choćby dotknąć, choćby być obok, choćby powąchać... – inaczej nic nie wymyślę. No, prawie nic. Niestety moja wyobraźnia jest ograniczona nawiasem rzeczywistości.

„To po co, palancie, bierzesz się za pisanie?! No właśnie, po co? Bez wykształcenia, wiedzy, talentu...”

Podobno perfekcyjnie wykonuję swój zawód. Jestem dobrym krawcem. Moja firma jest znana. Myślę, że gdyby moi zacni klienci spróbowali się zgrupować, przyjąć na oznaczone miejsce w tym samym czasie, to... uzbierałaby się chyba procesja... Procesja ludzi na trasie z Gdyni do Gdańska. Na pewno! Przecież przepracowałem w krawiectwie z pół wieku! To o czymś świadczy! A pisać? Czy potrafię pisać tak, by zaciekawić? Czy posiadam taką wiedzę, bym mógł się nią dzielić, przekazywać w książkach? „Daj sobie lepiej spokój brachu...” – w ten sposób przemawia do mnie zdrowy rozsądek, o ile jeszcze go zachowałem. Ale jak dać sobie spokój, jak przetłumaczyć sobie samemu, że... nie potrafisz, że nie masz nic ciekawego świata do powiedzenia... „Jesteś niewykształconym nieukiem i, do kurwy nędzy, skończ z tym ciągłym pieprzeniem w bambus! Ty pier....krawiotko!” – Przysięgam, przysięgam, że dziesiątki razy krzyczałem tak na siebie, opieprzając się niemożliwie: „Kurwa! Raz na zawsze przestań! Przestań nawet marzyć! Myśleć o tym! Zajmij się tym swoim chrzanionym szyciem i koniec!” – Dobra. Koniec!

A potem mijał jakiś czas i... korci, korci... I znowu biorę pióro do ręki... Tak było zawsze, od kiedy pamiętam. Od dzieciństwa poprzez lata młodości i dorosłe życie. Zawsze ciągnęło mnie w tę stronę, zawsze coś tam próbowałem kleić: jakieś wierszydełko, nowele, opowiadania. W końcu, kiedy moje życie ustatkowało się, kiedy znalazłem spokój i miłość w drugim małżeństwie, kiedy w mojej pracowni poukładałem sobie wszystko tak, że sam zacząłem mieć więcej czasu...

Pan Bóg przemówił do błagającego o wygraną w totolotku:

– Daj mi szansę spełnienia twojej prośby i w końcu zagraj!

Ten sam Pan Bóg powiedział do mnie, kiedy w moich modlitwach prosiłem Go:

– Boże, pozwól mi pisać...

– Zaczynaj, spróbuj w końcu, pierdoło...

No i odważyłem się! Odważyłem się i piszę powieść. Parę lat wcześniej wpadłem na pomysł, by napisać książkę o krawiectwie. O tym jak się nosić, jak ubierać, żeby mieć swój styl i szyk. W brudnopisie książka z odręcznymi rysunkami, zdjęciami, próbkami materiałów miała prawie czterysta stron i była na ukończeniu. Tworzyłem ją przez parę lat z wielkim zaangażowaniem, z pasją, z myślą o moich klientach. Kocham ludzi, wszystkich! Ale tych schludnych i eleganckich, dbających o swój wygląd bardziej. Taki jestem. Książka jednak nie została wydana. Dlaczego? Spróbuję opisać i tę historię w mojej powieści.

Który to już rok mojego życia, dzień po dniu stoję tak za ciężkim, masywnym stołem krawieckim, na dwa metry długim i dziewięćdziesiąt centymetrów szerokim, za stołem skonstruowanym specjalnie dla krawca, i tnę długimi stalowymi nożycami, materiał za materiałem. Ciągłe muszę być bardzo skupionym, muszę uważać, bo nożyce są dosyć ciężkie i ostre jak brzytwa. Jestem jednak wprawiony. Moja ręka z wyuczoną wprawą prowadzi je po cienkich, białych i jeszcze błyszczących liniach, które przed chwilą zostawiło krawieckie mydełko. Ciach! Ciach! Ciach! Słyszę, jak lśniąca ostrza ze szlachetnej stali mówią do mnie o swoim poddaństwie, o zniewoleniu przez moją rękę podczas wykrawania owalu pachy w przodach marynarki. Ciach! Teraz wykrój boczka. Ciach! i jest już „rybka” w przodach. Jeszcze plecy, rękaw wierzchni, rękaw spodni, bezeca [wewnętrzne i zewnętrzne odszyście przodów i klap marynarki materiałem] i kołnierz. W końcu biorę się za wykrój spodni. Najpierw wykrawam przednią nogawkę. Układam ją sprawnie na pozostałym materiale. Wokół niej, obliczając, mogę dopiero obrysować nogawkę tylną. Winkiel o krawieckich kształtach, centymetr, kreda... Rysuję teraz linię podkroju w udach i siedzeniu. Dobrze! Teraz znowu nożyczki... Materiał nie ma szans. Leży pocięty jak zorane pole. Ostrza nożyc zrobiły swoje. Teraz skrojone części garnituru dostaną moi „artyści”. Pozszywają „rybki”, zaprasują boczki, plecy, przyfastrygują przody do zrobionych wcześniej wkładów wewnętrznych. Wszystkie dodatki już od dawna sprowadzam z Niemiec. Są lepsze od naszych – polskich. W trakcie długiej używalności garnituru, po wielokrotnym czyszczeniu dalej utrzymują formę i fason w należytym stanie. Sfastrygowana, zrobiona w pracowni „miara” wróci do mnie. Będzie czekała na klienta – do przymierzenia.

Prawie południe. Deszcz zaczyna o dużą wystawową szybkość, za którą ludzie i samochody poruszają się jak na ekranie kina. Jedni próbują biec, bojąc się przemoczenia „do suchej nitki”. Inni pod rozłożonymi parasolami czują się odrobinę pewniej i idą spokojniej. Zima udaje jesień. Na razie ciągle zaczyna deszcz. Samochody nie wyłączają wycieraczek. Przez szparę niedomkniętych drzwi mojego salonu dostaje się strużka wody, wijąc się po marmurowej podłodze. Wygląda, jakby chciała dostać się do mnie z ciekawości, jakby chciała się dowiedzieć, co dzieje się za tymi drzwiami, przez które przeniknęła. A ja kończę krojenie. Trudzia już drugi raz woła mnie z zaplecza na kawę.

Trudzia to moja współpracownica. „Współpracownica” – coś to za brzydkie słowo! W ogóle nie pasuje do niej i do dni wspólnie spędzonych w pracowni od prawie trzydziestu lat. Trudzia to oddany towarzysz pracy i przyjaciel firmy. Trzyma w garści cały nasz salonik. Kiedy trzeba, wyprasuje ekspresowo garnitur, skraca nogawki, zwęża, lub wypuszcza w pasie portki. Ponadto utrzymuje w czystości i świątecznej krasie cały zakład, no i... parzy najlepszą kawę na świecie!

Około jedenastej w naszym salonie pachnie kawą. Nie żadną tam „espresso” – to „zalewajka” z mleczkiem i dwoma łyżeczkami cukru – mój smakowy nawyk jeszcze z czasów komuny. Trudzia umie ją przyrządzić! Około jedenastej, czując jej zapach, moje zmysły jak pies wokół mięsnej jatki krążą wokół posiłku. Wyjmuję kanapki zrobione przez moją żonę Adę. Jak zwykle pyszne, obłożone uczuciem i miłością. Ten posiłek musi mi wystarczyć do osiemnastej. Dopiero wieczorem zjem wspólną obiadokolację z moimi trzema kobietami. Tak, oprócz żony mam jeszcze dwie pasierbice. „Pasierbica” – kolejne brzydkie słowo, jakieś dziwne i obce. Mam dwie córki! Tylko tak mogę nazywać naszą Er i En.

Kocham je całym swoim sercem – jak moje własne, przeze mnie splodzone. Wiem, że ich uczucie do mnie jest nie mniej silne. Darzymy się wszyscy najszczerzą miłością od ponad dwunastu lat.

Zaraz po posiłku wezmę się za skrojenie budrysówki. Och! Jak dawno nie szyliśmy w pracowni tego typu odzienia. Budrysówka to rodzaj kurtki z kapturem, z odcinanymi karczkami z tyłu i z przodu, widocznymi stębnowaniami i dwurzędowym zapięciem na kołeczki umocowane skórzanymi rzemykami. Bardzo popularna pod koniec lat siedemdziesiątych. Wtedy szyta z grubego, często wojskowego, sukna – a dzisiaj... Na moim stole leży dość miękki granatowy loden [tkanina charakteryzująca się okrywą włókienną z włosianym naczeseem zakrywającym splot]. Lśniący włos na prawej stronie skierowany jest ku dołowi kurtki. Pierwsza zasada krojenia – sprawdzić kierunek włosa na tkaninie. Kreda, winklel, centymetr i do dzieła! Budrysówkę zamówił sobie mój klient, któremu szyłem podobną jakieś piętnaście lat temu.

– Wie pan, jestem architektem. Biegam po budowach, a ona spełnia wszystkie moje oczekiwania. Świetnie się w niej czuję...

Mój klient to bardzo sympatyczna postać. Zawsze pogodny, rozmowny, przyjazny. Taki wyłania się z mojej pamięci sprzed lat, kiedy szyłem mu wiele rzeczy. Takiego go zapamiętałem. Teraz zamówienie złożył pod moją nieobecność. Obmierzał go Łukasz – mój syn z pierwszego małżeństwa – obsługujący z reguły naszych klientów w warszawskiej filii. Tym razem zastępował mnie w Gdyni. Ja spotkam się z architektem dopiero podczas przymiarki.

Rysuję mydełkiem po miękkim materiale i wspominam: przeszło dwanaście lat temu widzieliśmy się po raz ostatni – szmat czasu. Jak bardzo się zmienił? Jak wygląda teraz? Jak mu się wiedzie? Z rozmiarów, które Łukasz wpisał do książki miar, wynika, że chyba przytył. Sto czternaście centymetrów w klatce piersiowej, dziewięćdziesiąt osiem w pasie i sto szesnaście w obwodzie bioder przy wzroście sto siedemdziesiąt dwa centymetry... Chyba przed laty był szczuplejszy. Muszę zajrzeć do komputera, powinienem mieć go w bazie danych. Zaraz... Przecież w tamtym czasie nie miałem jeszcze komputera. Skrojenie budrysówki zajęło mi prawie dwie godziny. Teraz wio, do pracowni, bo jutro jest miara...

– Cześć! Kopę lat! – Potrząsamy mocno naszymi dłońmi, uśmiechając się do siebie z przyjaźnią. Nim poproszę go, by usiadł, abyśmy mogli napić się herbaty, przyglądamy się sobie z zaciekawieniem, prawimy komplementy, że nic się nie zmieniliśmy, że dla nas czas zatrzymał się w miejscu. Słodzimy sobie jak dwie kuzynki na pogrzebie babci. Kątem oka dostrzegam jednak jego przyprószone siwizną – jak wiejska strzecha pierwszym śniegiem – skronie, małe woreczki pod ciągle wesołymi, jasnymi oczami... Czas robi swoje. Popijamy herbatę zaparzoną przez Trudzień i rozmawiamy o minionych czasach obfitujących w wydarzenia i u niego, i u mnie. On opowiada o swojej córce, która jest na stażu w Nowym Jorku. Śmieje się, że poszła w ślady ojca – też jest architektem... Ja o mojej drugiej rodzinie, o tym, że ożeniłem się po raz drugi, że mam dwie córki, że jesteśmy z Adą po ślubie ponad dwanaście lat i że jestem bardzo szczęśliwy. A potem, nie wiedzieć kiedy, zaczynamy politykować, narzekać na rządzących. W swoich wywodach jesteśmy tak zgodni, jakbyśmy należeli do jednego politycznego ugrupowania. Nawet wtedy, kiedy schodzimy na tak kontrowersyjny temat jak: wiara, religia, kościół, Bóg i kiedy ja zwieram się z moich perypetii ze spowiedzią i przyjęciem komunii – on dotyka mojej ręki, patrzy przenikliwie w oczy i przerywa zdecydowanie, mówiąc:

(koniec bezpłatnego fragmentu)